

odpowiadała jego godności. Nie znalazłszy jej, usiadł za biurkiem zrezygnowany.

Z zaciśniętego wzruszeniem gardła nie mógł wydobyc ani jednego dźwięku. Uśmiechał się tylko zwykłym swoim fałszywym, służalczym uśmiechem.

— Panie! — wykrztusił po długiej chwili milczenia — panie... to wielki zaszczyt dla mnie... nie będąc panu znanym, nie mając honoru jeszcze być przedstawionym panu...

— Zostawmy honor na boku — przerwał krótko Allan. — Będziemy mieć sposobność powrócenia do niego jeszcze. Znam pana doskonale, pan zaś wie, kto ja jestem. Czy chce pan ubić pewien interes ze mną?

— Jakto? — zawołał Delrue uszczęśliwiony. — Czy chce wejść w sprawę ze znanym „królem żelaza”? Ależ to wielki zaszczyt dla mnie, drogi panie!

Allan patrzył na Andrzeja Delrue, uśmiechając się tajemniczo.

— Oh! oh! panie bankierze. Nie bierzmy tej sprawy z takich wysokości! Tu nie chodzi o „króla żelaza”, jak się pan wyraził, nie mam bowiem wcale zamiaru uczynić pana tak odrazu milionerem. Sprawa jest tylko pomiędzy Allanem a panem Andrzejem Delrue. Rozumie pan?

— To wspaniałe... mój panie, to wspaniałe, jestem uradowany niewymownie...

— Bardzo mnie to cieszy. Oto jak się przedstawia rzecz cała: Przyjechałem wczoraj do Paryża i chcę odjechać, jak tylko zapadnie między nami ugoda. Jeżeli się uda, to nawet dziś jeszcze. Automobil mój czeka przed bankiem pana. Mogę w każdej chwili wyruszyć w drogę.

— Ah! pan powraca do Ouhghany...

— Tak, do swoich interesów tam pozostawionych. Hrabia de Kermor zaproponował mi założenie dla niego linii kolejowej. Zakładam ją więc.

— Jego przedsiębiorstwo staje się kolosalnym, dzięki nadzwyczajnej pomocy pana.

— Dzięki mnie, będzie można wkrótce udać się do tego kraju koleją żelazną. Oto wszystko! Jeżeli ja nie przeprowadzę tego toru w Afryce, kto inny mnie zastąpi, a że to dobry interes, nie mam wcale ochoty z rąk go wypuszczać.

— To genialne! Pan jesteś nadzwyczajnym człowiekiem.

— Tak, to możliwe, ale zastosuj to pan do siebie, panie Delrue, bo ja nie lubię tego słuchać.

— Ta wielka skromność podnosi jeszcze pańskie zalety.

— Skoro pan tak chce. Czy chce mnie pan wysłuchać dalej?

— Połykam słowa pana...

— Polknij pan lepiej kieliszek dobrego wina, to będzie lepiej. Ja codziennie wypijam butelkę „very dry” w towarzystwie mojego przyjaciela Henryka de Kermor na pokładzie naszego statku. Mówił mi, że niedługo ma poślubić pannę Sydonię de Bressien, co tak, jak i jemu, tak i mnie nie bardzo się podoba.

— Panu także? — zawołał Delrue, nie mogąc się powstrzymać od tego wykrzyknika.

— Mnie przedewszystkiem. Zaraz powiem panu, dla jakich powodów. Z całą szczerością wyjawię panu prawdę, aby panu dać dobry przykład na przyszłość. Bardzo to mi jest nie na rękę, że Henryk de Kermor ma dostać za żonę Sydonię de Bressien.

— Ależ to jeszcze nie jest rzeczą dokonaną — wyrzekł Delrue szybko — i przy pomocy większej sumy pieniężnej podejmuję się...

— Wybacz pan; pieniądze przychodzą zazwyczaj na sam ostatek sprawy, nie na początek. Wytłumaczę panu, dlaczego wściekły jestem, że hrabia de Kermor żeni się z bankierówną. Bo posiadam bardzo miłą siostrzenicę, która również, jak tamta panna, nazwać się może milionową panną.

— Milionową panną! — wykrztusił Delrue.

— Tak, mój panie. Towarzystwo „Allan” jest bogate. Siostrzenica moja liczyć może na ładne wyposażeńie. Otóż, według mojego zdania, Henryk de Kermor, ten dziwny chłopiec, którego pokochałem jak syna, będzie najodpowiedniejszym mężem dla niej. Będę bardzo uszczęśliwiony, jeżeli uczynię z niej hrabinę. Mam po temu środki i przygotowany jestem na największe ofiary. Tylko jest tu przeszkoda ważna.

— Dwie! — rzekł Delrue głosem podniesionym i zuchwałym, czując, że teraz bogaty Amerykanin jest na jego łasce.

— Niech mi pan wyjawia tę drugą.

— To jest... mój Boże... Nie mogę przecież tak zdradzać tej tajemnicy... tajemnicy nie mojej...

Allan roześmiał się sucho.

— I o której wie każdy. Ja panu powiem, co to jest, bo nie mam czasu do stracenia. Henryk de Kermor kocha pewną małą bretonkę, Janinę le

Brenn. To jest, według pana, ta druga przeszkoda, nieprawdaż? Może ją pan odtąd uważać za nieistniejącą.

— Śmiem o tem wątpić. Mam poważne powody...

— Ja również. Janina le Brenn jest moją siostrzenicą.

— Co pan mówi?

— To, co pan słyszy. Nazywam się Franciszek Allan le Brenn. W Ameryce skróciłem to nazwisko. Allan, to wystarcza. Czy mnie pan teraz rozumie?

Delrue tak dobrze rozumiał, że dostał zawrotu głowy. Janina le Brenn jedyną dziedziczką „króla żelaza”!

Szczególne powodzenie rodziny Kermorów trwało dalej. Heuryk dostanie za żonę Janinę le Brenn i milionowy z nią posąg. Delrue był olśniony. Henryk poślubi Janinę, z jego strony przeszkody nie będzie! Odebrał młodej dziewczynie uczciwe nazwisko za cenę pół miliona franków, ale ile żądać może za przywrócenie tego nazwiska?

— Rozumiem — odpowiedział głosem, w którym brzmiała powstrzymywana radość. — Rozumiem doskonale... ale przeszkoda pozostaje podwójna.

Allan zaprzestał bawić się laską i jeszcze bardziej i uporczywie zaczął się wpatrywać w podobłą twarz przeciwnika.

— Dla mnie niema ważniejszej przeszkody — zaczął spokojnie i zimno — jak zobowiązanie słowne, zawarte między panem de Kermor a bankierem. Młodzi ludzie, to jest Henryk i Janina, oddawna już tę sprawę rozsądzili.

— Małżeństwo z panną Sydonią łatwiej może zostać rozwiązane, niż tamto zawarte — zahazardował Delrue, ważąc słowa. — Dowodem, że pan de Kermor mógł się zwierzyć panu z miłości swojej dla siostrzenicy pana.

— Zapewne; mówił mi nawet o niej kilkakrotnie.

— Ale nie mógł w żaden sposób powiedzieć panu, że się z nią ożeni! W to nie uwierzę nigdy!

— Przepraszam, pan się zupełnie myli. Ożeni się z nią, jeżeli się przekona, że jest godną jego imienia, tak, jak sądzę.

— Pan tylko sądzi, ale nie jest pewnym?

— Mogę powiedzieć, że jestem pewnym, jeżeli to sprawia panu przyjemność.

— A pan de Kermor także? Może to niedyskretnie pytanie?

— Wcale nie. Pan de Kermor jest przekonany, ale niepewny, bo nie posiada na to dowodu.

— Ah! Więc pan ten dowód posiada jednakże? — zapytał niepewnie Delrue.

— Nie mówiłem tego. Gdybym go miał, nie przychodziłbym do pana. Bo i pocóż? Musiałbym na to być tak szalonym, jak doktor Magnus de Villepré, którego zamknęli niedawno w domu zdrowia.

— Pan sądzi, że ja...

— Jestem przygotowany na to, mój przyjacielu, że pan mi dostarczy tego dowodu, a ja go opłacę stosownie do wartości. Czy pan uważa, że jesteśmy w stanie się porozumieć. Proszę być otwartym.

Andrzej Delrue tracił grunt pod stopami i lęk go ogarniał. Wyszeptał z trudem:

— To będzie zależne od wielu rzeczy. Muszę na to stracić wiele czasu, użyć dyplomacji, trudu, poszukiwań. Będę zmuszony poświęcić na ten czas bank mój, który sam prowadzę.

— Przesadza pan. S raci pan zaledwie dwadzieścia minut czasu, zareczam. Dłużej czekać nie będę, a otrzymać ten dowód muszę na piśmie.

— Na piśmie!

— Tak, mój panie.

— A któż się tego podejmie?

— Pan, mój przyjacielu. Napiszesz go pan ładnym, znanym swoim piśmem!

Słowa te zmiażdżyły zupełnie Andrzeja Delrue. Pot zimny wystąpił mu na czoło. Ależ ten Allan to był szatan we własnej osobie! Wspomniał o Magnusie zamkniętym w domu zdrowia, o „ładnym piśmie”, a do tego wszystkiego był krewnym tej dziewczyny! I ten sposób jego mówienia! Pewny siebie, zuchwały!

— W gruncie rzeczy Allan nie wiedział, że Delrue kombinował był zamordowanie Janiny przy współudziale apaszów. Ale Delrue, który przed chwilą wyczytał w dzienniku wiadomość o tragicznym końcu Barykady, mógł przypuszczać również, że wmieszanie się Amerykanina w tę sprawę, wypadek spowodowany jego automobilem, nie był zdarzeniem tylko przypadkowym. Delrue pod wrażeniem tych nowych objawień, zapadł w dawny swój stan, z którego otrząsnął się był tylko na chwilę. Stał się niespokojnym, bojaźliwym i niepewnym

siebie. Wkońcu wysiłkiem woli opanował się i zaprotestował, dotknięty silnie:

— Panie Allan! Wiem, do czego pan zmierza.

— To bardzo szczęśliwie!

— Pan mi grozi?

— Bynajmniej. Ale pozwoli pan, że będę dalej mówił, chodząc po pokoju. Dłuższa bezczynność mięśni nuży mnie. Wytłumaczę panu rzecz całą w krótkich słowach, bo widzę, że pan jeszcze nie jest gotów pomódz mi swoją pamięcią, elokwencją, a przedewszystkiem swoim ładnym piśmem, którego drogocenne wspomnienie zachował pan Collin-Megret, pod postacią udatnego zdjęcia fotograficznego. Ale prawda, byłbym zapomniiał. Przesyła panu przeze mnie pozdrowienia. Ale wkońcu to wszystko nic mnie nie obchodzi. Przystąpmy do sprawy, która mnie tu sprowadza.

Allan powstał przy tych słowach, włożył kapelusza na głowę i ręce wsunął do kieszeni. W tej postawie stanął przed Andrzejem Delrue, który patrzył na niego z przerażeniem i gniewem.

— Baron de Bressien — zaczął dalej mówić Allan — dla powodów jemu tylko znanych chciał koniecznie wydać swoją córkę za Henryka de Kermor. W tym celu doprowadził do ruiny markiza, dając mu rozmyślnie kredyt nieograniczony, dopomógł do śmierci starego plenipotenty tej rodziny, co pozwoliło drugiemu, młodszemu i o szerszych poglądach człowiekowi zastąpić tamtego z ogromną korzyścią dla niego. Czy chce pan co powiedzieć? — przerwał Allan, widząc niespokojne ruchy Andrzeja Delrue i drżenie nerwowe jego zbladłej twarzy.

— Nie, nie, właściwie...

— Później wysłucham pana. Aby więc ojca ocalić od ruiny, a może i od śmierci, Henryk poprosił o rękę panny Sydonii. Związek ten przyniósł sto tysięcy milionów gotówki. O ile te miliony są prawdziwe, tego nie wiem. Siostrzenica moja, która gorąco kochała młodego hrabiego, oddaliła się z palacu, niepokieszona w swojej miłości, a po jej odejściu Henryk przekonał się, że ją również kocha gorąco i żyć bez niej nie może.

Delrue, wpatrzony w zimną twarz Allana, słuchał chciwie każdego jego słowa.

— Ten kanalia baron, pan pozwoli nieprawdaż, że go tak nazwę, posłużył się nowym sekretarzem markiza, aby poprowadzić według upodobania sprawy swoje. Ten sekretarz był to biedak, dla którego życie zawsze było ciężkiem, bez dachu nad głową, wypełniający rolę przewodnika przy cudzoziemcach i turystach, zajmujący się przytem spieniężaniem kwitów zastawniczych w lombardach; szczęśliwym trafem spotkał raz Henryka de Kermor, który go z tej biedy i brudu wyciągnął. Czy to prawda, panie Delrue, to wszystko, co tu panu opowiedziałem?

Pytanie to przebrzmiało bez odpowiedzi.

— Otóż ta kreatura na usługach bankiera de Bressien — ciągnął dalej Allan — powzięła całą seryę zamiarów, które nie zawsze udają się uczciwym ludziom — jemu zaś pozwoliły dostać do ręki sfalszowany kwit zastawniczy i zapominając o niej bezpiecznej przeszłości, otworzyć wspaniały bank o złotym, bijącym w oczy napisie, gdzie czeka na lekkomyślne istoty, mogące mu wpaść w rękę. Ale może ja pana nudzę, kochany panie Delrue?

Zapytany błędnymi oczyma powiódł po pokoju, nie wychodząc z milczenia, w którym się zasklepił.

— Opowiadanie moje nuży pana, jak widzę, ale zaraz już skończę. Henryk de Kermor przez tego pana został poinformowany o rzekomym hańbiącym życiu Janiny le Brenn; pokazano mu list kompromitujący, w końcu wciągnięto go do pewnego, podejrzanego domu, gdzie młoda dziewczyna miała stać się ofiarą piekielnych kombinacji. Ale na szczęście policja wmieszała się w tę nieładną historię i całe towarzystwo, wspomagające tego pana w jego sprytnych planach, zostało zamknięte w więzieniu. Co pan na to mówi, panie Delrue?

— Nie wiem o niczem, nie byłem w to wmieszany — brzmiała ledwie dosłyszalna odpowiedź.

— Czy być może? Jednakże pan Collin-Megret poznał pana ładne pismo w pewnych deklaracjach anonimowych. Żal, jaki ma do pana z tego powodu, ocenia na sto tysięcy franków. Prosił mnie, aby pana o tem powiadomić. Pani Wiktoria jest mniej wymagająca; swoje usługi obliczyła na 10.000 franków. W rzeczywistości winien jej pan jest dziewięć, bo dziś rano właśnie wręczyłem zacnej damie w więzieniu tysiąc franków zadatku. Zatrzymam je jako à conto i obliczymy się zaraz, bo dziś jeszcze muszę złożyć jedną wizytę, a czasu mam mało.

— Nie wiem, do czego pan zmierza — wyrzekł, trzęsąc się, Delrue.

(Ciąg dalszy nastąpi).